# ROZMAITOŚCI.

**Dnia 21. Lutego. № 8. Roku 1855.**

## SENEGAMBIA.

### Przygody pana Verneuil w podróżach nad Senegalem i w środkowéj Afryce.

#### I.

**Saint-Louis od morza. Bal nad Senegalem. Żona i Urząd.**

Po wyjeździe naszym z Tulonu w pięćdziesiąt sześć dni, zbliżyliśmy się z fregatą, na któréj byliśmy, do Saint-Louis, i o północy zaczęliśmy zawijać.

O czwartéj godzinie zrana zerwał się wiatr wschodni i napędził nam od lądu piasku i szarańczy. Wkrótce dolatywać zaczęło i ptactwo rybołowne, z czegośmy zrozumieli, że bliscy lądu jesteśmy. bo się ono od brzegów nigdy zbyt nie oddala. Nakoniec zeszło słońce, i w okamgnieniu zrobiło się jasno jak w południe; okolice pod równikiem nie miewają zorzy ani rannéj ani wieczornéj. Ale mimo jasności, gęsta mgła zasłaniała nam widok od lądu. dopiéro około dziesiątéj godziny pokazała się ziemia.

Wszyscy, z perspektywą jedni, drudzy z okularami powybiegaliśmy na pokład cieszyć się jak się zpod wody wdzięczy ku nam Saint-Louis, przypatrywaliśmy się pięknym terasom wznoszącym się w umizgach jedna za drugą, i rozległéj kolumnadzie jaśniejącéj przy słońcu jak porfir i alabaster. Widok stawał się coraz powabniejszym, gdy się z brzegów ruszyły rojem czółna i statki rybackie o rudlach i żaglach rozpiętych w trójkąt, i rozprószyły po oceanie. Wkrótce przybiła barka gubernatorska do naszéj fregaty i z niéj trzech Murzynów wdrapało się na okręt. Mieli nam z urzędu rotmanić i przeprowadzać okręt wdłuż brzegów; starszy między nimi dodawał sobie niesłychanie powagi, nazywał się Fara, przybierał minę bardzo dumną, i odpowiadał tylko oficerom więcéj nikomu. Przyniósł z sobą sztukę ryby na upominek dla komendanta, a gdy go upomniano, że ryba w sztuki poszarpana nie jest dar przyzwoity, odpowiedział:

Czego tu nie dostaje, ja nie sprzedawał, ale mój syn był głodny, więc musiałem mu urwać kawał, spodziewam się, że komendant nie odmówi mi grzeczności.

I sprawdziło się, komendant przyjął upominek i w odwet obdarował go ubiorem marynarskim. Już teraz ani przystąpić można było do niego, sam sobie się dziwił, opatrywał się nieustannie i pysznił, że mu pięknie spadała czerwona

opaska, że się guziki świeciły, że kaszkiet błyszczał powleczony cyratą, a najbardziéj że się odbijały na wstędze litery złote. Zastawiono potem stół przed nich; Fara wydzielił dla siebie, ile chciał najwięcéj i co najlepszego, a wino wszystkie sam wypił. Ostrzeżono go, że niesłusznie robi; ale ón na to:

A czy wasz komendant na téj fregacie tak żyje jak jego majtkowie? Czyż ja się nie powinien lepiéj częstować niżli ci ludzie, których jestem dowódzcą?

Ci ludzie, obydwa Murzyni, mieli wracać sami na ląd. Jeden z podróżnych, któremu się zachciało być prędzéj w Saint-Louis, naparł się popłynąć z niemi. Naradzali się długo z Farą, oglądali niebo i cały ocean z wielką uwagą, i dopiéro zezwolili zabrać podróżnego, gdy uznali że niebezpieczeństwo żadne nie grozi. Już-to na sterniku murzyńskim w tych stronach polegać można zupełnie; mają doświadczenie, a przytém żaden z nich ani się na chwilę nie waha stawić życie, gdy chodzi o ratunek Europejczyka.

Teraz ruszyła fregata wzdłuż wybrzeża, ażeby dobić do paropływu, który miał podróżnych zabrać. Fara zajął miejsce przy komendancie na podwyższeniu, i z wielką powagą rozkazywał, w jakim kierunku miał się okręt posuwać.

Morze bałwaniło się dosyć; na pokładzie wielkiéj fregaty nie czuliśmy tego, ale przesiadłszy się na mały statek parowy, doznaliśmy wszyscy niemiłéj bardzo słabości morskiéj.

Ujście Senegalu zawsze jest niebezpieczne; przebyliśmy jednak bez przygody i wpłynęli na wodę spokojną trzymając się śladów wytyczonych beczkami, które doświadczeńsi murzyni wystawiają na wodach.

Miasto Saint-Louis leży ze siedm mil za uściem. Wodą jadąc wyraźnie się człowiek wciska, bo w stronie zachodniéj między Senegalem a morzem wystaje wąski przesmyk lądu, a długi że wolnego przystępu strzeże. Na nim gnieździ się różnego rodzaju ptactwo krociami; one by jeszcze nieszkodziły, ale są wystawione telegrafy, i te zdradzają. Brzegi na przeciwko są piasczyste i puste, jedna tylko w głębi odbija się oaza, gdzie leży piękna wioska Gandiole.

Przybyliśmy wreszcie pod Saint-Louis, szukałem dziwów tych piękności, któreśmy wczoraj z morza przez perspektywy uwielbiali; a piérwszy przedmiot który mi pod oko popadł, była nędzna baterya o działach gruzami zasypanych.

W dali za nią wyglądały chałupy z sitowia wyplatane, czyste ule, po największéj części albo powywracane albo ponadpalane, a która sterczała w całości, dźwigała na swoich płatewkach płachty z brudów, gałgany z odzieży, sztuki różnego mięsiwa albo ryby; popod chałupy słały się ulice gnoju i śmiecia, w nie wgrzebywały się i siedziały kuczkiem stare Murzynki, prawie zupełnie nagie, paliły tytoń. Ckliwo się robiło patrząc, i moje illuzye spełzły w niwec.

Na pociechę wmawiałem sam w siebie, że to jest dzielnica zostawiona dla samych krajowców, i że moje oko niebawem gdzieś odkryje osobliwości prawdziwych, dopatrzy owéj pięknéj terasy i kolumnady; i przecie pokazały się dwa

domy stawiane z cegieł; nasz paropływ stanął u wybrzeża bardzo pięknie podmurowanego, i zaraz zaczęliśmy kosztować przyjemności nieba afrykańskiego. Na placu przed portem tłoczyli się trzodą Murzyni i Murzynki, wywoływali na nas Bóg wié co z radości, żeśmy przybyli; ale ta ich dzika wrzawa, rażąca muzyka, dziwaczne pląsy i sama ich nagość mogły w nas budzić raczéj przerażenie, aniżeli przyjemne uczucia. Ledwom stanął stopą na ląd, otoczyła mię czarna zgraja kobiét i mężczyzn, zagłuszyli mię dźwiękiem słów barbarzyńskich, nawet trochę zatrwożyli dziczą w gestach i ruchach. Zacząłem się już oglądać, czy nie znajdę kogo z kimby się porozumiéć po ludzku, szczęściem postrzegłem kogoś w ubiorze europejskim, opatrzność wiodła go do mnie.

Nie byłbyś Pan łaskaw — mówię do niego — pokazać mi jaką gospodę?

Tu Pan nie znajdziesz gospody; ja jestem Baron de C... urzędnik jak Pan, i przychodzę z polecenia gubernatora przyjąć Pana; możesz, jeźli mu się podoba, zabawić w moim domu, nim sobie gdzie wynajdziesz pomieszkanie.

Pomieszkanie mego Barona było blisko portu. Weszliśmy najprzód na dziedziniec bardzo obszerny; w głębi szły chałupy murzyńskie na jotę takie same, jakie już wprzódy widziałem, przed niemi uwijały się Murzynki i tłukły w dużych moździerzach proso. Gdy nas postrzegły, popadały na kolana, i rzucając tłuczki do góry, klasnęła każda w dłonie trzy razy, potem złapała tłuczek swój w powietrzu i daléj w śpiewy i znowu do roboty.

Ubior tych Murzynek był jak można najniewinniejszy, kawał niebieskiego płótna około bioder, i wszystko. Dwie między niemi miały w płachcie dziécię na plecach, ale to im nie zawadzało, chłopięta spały jak trusie. Na przeciwko chałup wznosił się dom mieszkalny, spodem szły piwnice, kuchnia i magazyny, sam gospodarz mieszkał na piérwszém piątrze. Weszliśmy do izby dolnéj, była obszerna, służyła za salon i pokój jadalny. Ściany miała chędogo wybielone, ale bez żadnych ozdób, popod ściany szły kanapy z gołych tarcic niczém nie wyłożone, ale okryte matami w pstre kolory; nad niemi szczyrzyły się porozwieszane pantofle z safianów marokańskich, kapelusz z liścia palmowego o kryzach jak parasol, i fajki rozmaite. Ztąd przeszliśmy do pokoju pani Baronowéj, zastaliśmy ją na kanapie siedzącą na sposób turecki, nogi pod sobą.

Muszę wyznać, że chociaż pan Baron wyglądał szkaradnie jak najbrzydszy Mulat, za to pani Baronowa do zadziwienia była piękna jak tylko można najprzystojniejsza Maurytanka z północnéj Afryki. Mogła mieć około dwadzieścia lat, a przebijał się w niéj wdzięczny typ łoża szczero andaluzki. Przedziwnie przypadała jéj do twarzy kraciasta chusteczka na głowie, złote kulczyki jak uśmiech przy pięknem uszku drżały z wesela, muślinowa koszulka osłaniała ciało po biodra, a od bioder spadały sute w różnych kolorach pągwie jak nazywają fartuszek murzyński. Zajęta była

przędzeniem bawełny i co chwila nacierała palce krédą, ażeby bialutką nić niczém nie splamić.

Pan Baron zaprezentował moją osobę i pani Baronowa odkłoniła się bardzo uprzejmém poruszeniem głowy, przemówiła kilka słów, a pan Baron był łaskaw przetłumaczyć, co znaczyły: życzę ci, ażebyś na czas pobytu swego w Saint-Louis znalazł przystojną żoneczkę. Podziękowałem, a pani Baronowa zakończyła rozmowę naszą śmiechem na głos tak znaczącym, że z zadziwienia przyjść do siebie nie mogłem.

Po téj króciuchnéj wizycie wróciliśmy z Baronem do salonu i zasiedli do stołu. Dwie młodych murzynek nakryły stół matą zamiast obrusa, i zastawiły przed pana gospodarza jakąś lemieszkę, Bóg świadkiem, że coś piérwszy raz dopiéro widziałem.

Pewnie pan tego dania nie znasz? zapytał mię Baron; ale tu w Saint-Louis wszyscy w niém smakują.

Coż to jest?

Pardieu! sławny kuskus, uprzywiliowana minestra afrykańska! ja się do niéj przyzwyczaiłem tak, iż już pozwolić musisz, że od niéj zacznę, a użyję zamiast łyżki, palców jak wszyscy; ale bo kuskus straciłby co ma najlepszego w sobie chcąc go jeść inaczéj. Może i Pan pozwolisz nim zacznę?

Z ochotą.

Wziąłem odrobinę, ale przełknąć ani sposobu; nic ckliwszego w życiu nie kosztowałem, smakowało jak próchno abo trociny. Ubawił się mój gospodarz, patrząc jak-em się krzywił.

Nie więcéj mię zbudowały i inne dania, pieprzne, korzenne, paliły jak ogień; odwetowałem się za nie na bananach, gujawach, mléku kokosowém i na ananasach. Może by było godziło się uczcić lepiéj gościnność, bo mi podawała talerze piękna rączka saméj pani Baronowéj, przykro też było patrzyć, że my sami siedzieli a ona za stołkiem cały czas na nogach, usługiwała panu małżonkowi. Po kilka razy zapraszałem, ażeby u stołu zasiadła, a posługę poruczyła dziewkom; zdawała się nie pojmować, albo nie chcieć rozumiéć o co prosiłem; wreście i Baronowi musiało się to sprzykrzéć, bo mi powiedział:

Pozwól Pan, już u nas taki zwyczaj ażeby u stołu żona służyła mężowi. Wiem że Francuzi grzeczniejsi, ale my wolemy w ten sposób trzymać nasze żony, zapobiega się przez to różnym przygodom.

Panią Baronowę to ani dotknęło, owszem wesoła i usłużniejsza jeszcze była.

Po obiedzie uraczyła nas muzyką, i to na instrumencie wcale osobliwym. Była-to skrzyneczka niezgrabna, na wieczku powprawiane miała drewienka na wzór klawiszów u naszych fortepianów, a z tych drewienek zwieszały się wydrążone tykwy. Po tych klawiszach niby, pani Baronowa uderzała pałeczką drewnianą, i pojąć nie mogę, zkąd ona te przecudne tony wydobywała. Instrument ten, ile wiem, zaniosł się do nich od ludów mieszkających nad Nigrem.

Nagle zaszedł nas odgłos Tam-tamu i radośnych okrzyków; w sąsiedztwie sprawiano bal, i mój gospodarz zapro-

sił mię ze sobą. Przyjąłem zaprosiny z ochotą, i nie bawiąc weszliśmy do sali; ale daruje Europejczyk gdy mu słabe dam tylko wyobrażenie tego, co to jest Bal w Senegambii; coś pocieszniejszego i obrzydliwszego oraz trudno gdzie widzieć. Mnóstwo murzynek przyczukało na ziemi popod ściany, a u rogu sali siedziało pięciu czy sześciu chłopów całkiem gołych — najsławniejsi muzykanci z całego miasta, podobniejsi do Satyrów niż stworzeń ludzkich. Signardki czyli właściwe damy balowe odpowiadały z dziwaczności swojéj oko w oko całemu zgromadzeniu. Spojrzeć było na te piramidalne czepki, ich żółtą cerę, i wyraz w twarzach posępny a tajemniczy, mógł człowiek myśléć że jest gdzie z czarownicami na łyséj górze. Już chciałem się wymknąć, ale gospodyni domu jakaś żwawa a młoda Mulatka porwała mię za kołnierz i przymusiła zostać. Baron tymczasem zaprosił jednę z Signardek czyli magnatek w taniec. Muzykanci uderzyli w swoje cymbały; murzynki nuż towarzyszyć śpiewem a raczéj rykiem, i jeszcze do tego przyklaskiwały w dłonie Ale jak Baron się z swoją tancerką wywijał, wykręcał i wykrzywiał, tego już nie opiszę, słów nie mam jakby wyrazić. Napaść się miało czém oko, ale i ucho głuchło od oklasków i wrzawy. Skończyli taniec, kiedy już nogami ruszać nie mogli.

No, jakże się Panu podoba nasz taniec? zapytał mię Baron z miną uroczystą.

Ale przedziwnie! z tém wszystkiém, radbym się wynieść, bo bardzo jestem znużony i chciałbym wypocząć.

Musisz Pan wprzódy z gospodynią domu potańczyć.

Co Panu w głowie! wszak pojmujesz, że tego tańca nie umiem.

Nie poradzę Panu. Z gospodynią nie tańczyć to u nas obraza niesłychana.

Szczęściem przypomniałem sobie swawolne pląsy ze szkół, ową rozkosz studentów i gryzetek po balach paryskich. Więc wystąpiłem z produkcyą, przy oklaskach myślałem że oszaleją.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

# MANFRED.

## Tragedya w 5 aktach wierszem

przez

**Xawerego Godebskiego.**

(Dalszy ciąg. Ob. N. 1. 2. 3. 7. Rozmaitości).

***Scena 3*** (drugiego aktu).

Taras Zamkowy — w pośród klombów drzew przeziera część głównéj baszty i wież zamkowych. Księżyc oświeca krajobraz.

**Noema** *(sama wpatrując się w księżyc).*

O! ty kapłanko nocy, rzewna dumająca,
Któréj przyjazne tchnienie łagodnie potrąca
Drażliwe struny serca i niestrojne zgadza:
Powiernico dusz czułych! Zkądże ci ta władza?
Zkąd urok, który w równym wywierasz podziele
Na rozpacz i nadziei upragnione cele?
Światło twoje spłakanéj źrzenicy nie drażni;
Łagodzi groźne widma choréj wyobraźni;

zarówno na serce rzuca blask uroczy,
Czy je szczęście unosi, czy je boleść tłoczy.—
A jak błogo, gdy w koło noc zalega głucha,
Powierzać ci Kapłanko, tajną spowiedź ducha
I uspione w śnie serca rozbudzając myśli,
Z przedmiotem swoich marzeń powiązać się ści-
(śléj.
Gdzieżeś ty mój Manfredzie? Czemuż nas zawi-
(śnie
Los rozdzielił?.... Rój wspomnień do duszy się
(ciśnie —
Myśl wraca w dom rodzinny, wraca w prze-
(szłość moją,
Nieobecni, umarli na oczach mi stoją.....
*(z uniesieniem)*
O! chcę z niemi rozmawiać głośno jak najdłużéj
Pokąd żałość do reszty zmysłów mych nie znuży,
A serce upojone, czarami zachwytu
Niezdrętwieje w jawności zwątpionego bytu.

**Klotylda** *(wchodzi).*

Ty żeś-to Pani sama w tak spóźnionéj dobie?
Czemuż smutku przyczyniasz i innym i sobie?
Głucha samotność nocy przy świetle Księżyca
Wywołuje wspomnienia i troskę podsyca. —

**Noema.**

Dusza moja, boleścią przepełniona dniową,
Wynurza się swobodnie przed nocy Królową:
Nie przerywaj mi proszę téj rzewnéj spowiedzi,
Po któréj duch przeszłości snadniéj mnie na-
(wiedzi
I pieśni dni dziecinnych nótę mi powtórzy.

**Klotylda.**

Pójdź raczéj zemną widzieć niedobitków burzy,
Których gościnność twoja szczodrobliwie gości:
Pójdź, przysłuchaj się wrzawie, szczeréj weso-
(łości.
Rozwiązała im język dostatnia biesiada:
Każdy przygody życia swego rozpowiada;
Znają truwerów pieśni i stare legendy:
Hojnie ci niemi spłacą twe gościnne względy.
Słuchaj..... Wiatr ich wesołe donosi nam chóry...

**Chór Majtków** *(za Sceną).*

Pełną czarę
Nalej mi:
Grzechy stare
Skąpię w niéj!

**Noema** *(z odrazą).*

Wesołość ta ma dla mnie dźwięk jakiś ponury;
A ze strony tych ludzi dziwi mnie i trwoży.
Zaledwie ich z otchłani wybawił cud boży,
Odwdzięczają gościnność przez huczne swa-
(wole.
Ale jeden z tych obcych nie zasiadł przy stole,—
Ujźrzałam go wychodząc na taras zamkowy:
Stał na stronie, posępny i twarz do połowy
Płaszczem swoim osłonił.—Nie wiem, czy należy
Do ich grona — lecz mimo skalanéj odzieży,
W postawie i spojźrzeniu, którém innych mie-
(rzył,
Wyraz dzikiéj wielkości mocno mnie uderzył.

**Klotylda.**

Człowiek ten jak własnemi widziałam oczyma,
Ma zwierzchnictwo nad niemi i groźnie ich
(trzyma,
Kilka już razy, baczny na względy łaskawe,
Jedném skinieniem głośną uciszył ich wrzawę.

**Noema.**

Nie mówił z nikim?

**Klotylda.**

Dotąd nie wyrzekł i słowa:
Widać że jakiś zamysł w duszy swojéj chowa,
Bo posępny na wszystko bystre zwraca oko;
Musiał spaść bardzo nizko lub sięga wysoko.

**Noema.**

Nie będę uczuć moich przed tobą taiła,
Niepojęta ku niemu pociąga mię siła,
*(po chwili namysłu)*
Chcę z nim mówić — chęć moja gościa nie po-
(niży.
Idź przywołaj go.

**Klotylda.**

Tutaj?

**Noema.**

Chcę go poznać bliżéj.

**Klotylda.**

Sama?

**Noema.**

Czegoż się lękać?

**Klotylda.**

Nie znamy tych ludzi —
On tak dziki!..

**Noema.**

Tém żywszą chęć poznania budzi.
Trwożliwy umysł błędnie przedmioty ocenia,
Na mnie żadna okropność nie robi wrażenia....
Może jak ja, ukrywa niezgojoną ranę —
Żywsze współczucie budzą boleści doznane:
Kto sam cierpiał rad wsparcia cierpiącym uży-
(cza.

**Manfred** *(wchodzi wolnym krokiem z założonemi rękoma i spuszczoną głową).*

**Noema** *(chwytając Klotyldę za rękę).*

Patrz!... rzecz dziwna. — Istota jak on taje-
(mnicza,
Od dni kilku méj duszy objawia się we śnie.....
Człowiek ten cierpi — wierz mi — trwożysz się
(niewcześnie.
Oddal się — łatwiéj zbadam to serce stroskane.

**Klotylda.**

Oddalam się, gdy każesz — czuwać nie prze-
(stanę.
*(odchodzi).*

**Noema** *(do Manfreda).*

Zbliż się obcy nam gościu, z zaufaniem całém:
Głośna wesołość innych nie jest twym udziałem,
I owszem stronisz od niéj w smutku pogrążony,
Zbliż się — pomówmy z soba bez żadnéj osłony.
Okręt twój zginął, ciężka spotkała cię strata:
Chciałbyś ją powetować? Mów jestem bogata:
Jeźli klęska majątku dotyka jedynie,
Klęska da się nagrodzić — chetnie to uczynię —
Gościnność tutaj pełną wymierza się miarą.

**Manfred.**

Skarbów całego świata wzgardziłbym ofiarą.

**Noema.**

Zgadłam cię, nieszczęśliwy, i nie badam daléj....
Serce twoje w bezdennéj zatonęło fali
Z towarzyszką dni twoich, czy drogim ci bra-
(tem —
Oni byli twą duszą, twoim byli światem.....
Straciłeś ich — sam jeden zostałeś na ziemi —
Oni umarli — dusza twa umarła z niemi....
Jestestwo twoje zburzył grom niespodziewany—
Żałuję cię — lecz takiéj nie zagoję rany,
Złoto dać mogłam, nędzom kłaść się może tama—
Cieszyć niezdołam, jestem bez pociechy sama—
A przecież, Bóg mi świadkiem, byłabym gotowa
Na bolejące serce wylać balsam słowa;
Lecz słowo moje, gorzkiém jękiem przerywane,
Zamiast goić, więcejby rozjątrzyło ranę,
Mogęż koić żal innych, gdy swoim nie władnę?

**Manfred** *(kładąc rękę na sercu).*

Téj spiekłéj niwy rosy nieorzeźwią żadne. —

**Noema.**

Postać twa dziwna — mowa jeszcze jest dzi-
(wniejsza.
Powierz mi się z ufnością — ufność troskę
(zmniejsza —
Co większa, ciężkie czasem odkupuje winy....
Jakiż twój ród, ojczyzna?

**Manfred.**

Ja nie mam rodziny —
Mająż ją nieszczęśliwi? — Któż się do nich przy-
(zna?
Chcesz znać moją ojczyznę. — Czemże jest oj-
(czyzna?
Dom, krewni, przyjaciele, byt bezpieczny, trwały,
Opieka prawa, przystęp do krajowéj chwały,
Nagroda dla twych znojów, cześć dla twéj si-
(wizny....
Tych wszystkich dóbr ja niemam — ja niemam
(ojczyzny!
Prędzéj straszliwy rozgłos trąby Archanioła
Procby naddziadów moich do życia wywoła,
Niżeli wnuk ich mienie stracone odzyska. —

**Noema** *(sama do siebie).*

Słucham go przerażona — trwoga serce ściska:
Głos ten nie jest mi obcy — tajemniczo, głucho,
Nie raz mi w snach trwożących obił się o ucho....
*(głośno)*
Chciałam trosce twéj ulżyć. — Widzę że nic
(zgoła
Życzliwéj twéj ufności wyjednać nie zdoła.
Żegnam cię — zostań z Bogiem! — A jeźli los
(zdarzy,
Że cię nędza pociągnie do stopni Ołtarzy
Zatraconéj nadziei poszukiwać w Niebie,
Módl się i za mnie — może nędzniejszą od ciebie.
*(chce się oddalić)*

**Manfred** *(z goryczą).*

Zatrzymaj się Szlachetna Pani — jeszcze słowo!
Widzę cię teraz — widzieć nie zdołam na nowo.
*(rozkazującym tonem)*
Mnsisz tu zostać!

**Noema** *(z przestrachem)*.
Muszę — Któż jesteś? — Mów prędzéj.
**Manfred.**
Kto jestem? — Do takiejże doszedłem już nędzy
Że się aż nazwać muszę? Kiedyś był głos przecie
O którym wszyscy mogli zapomnieć na świecie,
Wszyscy prócz ciebie jednéj. — I wszystkim (w téj dobie
Możebym tę niepamięć przebaczył, prócz tobie.
**Noema.**
To nie on!.... Tracę zmysły.... Żyjący i zmarli
Również mnie trwożą — dawno szczęście mi (wydarli —
To nie on!.... On tych progów nigdy nie prze- (kroczy —
Te lica ogorzałe te zapadłe oczy
Nie są jego! Chcę wierzyć i wierzyć się boję....
Głos jego!.... Głos mnie łudzi.... Znałby imię (moje!
**Manfred.**
Noemo!
**Noema.**
Ach!....
*(omdlewa w rękach Manfreda).*

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Dzieje fabrykacyi chińskiéj porcelany.

Godną pamięci jest praca pana Stanisława Jullien znamienitego Sinologa w Paryżu, iż się przysłużył Europie dziełem dla uczonych ciekawém, a dla techników pożytecznem z tego, że okazał początek, postęp, składy i wszystkie właściwości wyrobów porcelany w Chinach.

Wynalazek porcelany sięga dalekich wieków; 2698 lat przed erą chrześciańską kwitły już w Chinach wyroby garncarskie, i chociaż piérwszy zakład właściwéj fabryki porcelanowéj przypada za panowania dynastyi Han w latach między 185 i 87 rokiem przed Chrystusem, zaprzeczyć nie da się, by wcześniéj już nie wychodziły zpod ich ręki wyroby porcelany, zwłaszcza gdy w grobach Faraonów egiptskich znalazły się dwa małe flakoniki porcelanowe chińskiéj roboty. Piérwszą porcelanę zawieźli do Europy Portugalowie w r. 1518, a piérwsze poszukiwania jak by się tu wyrabiać dała, zawdzięcza Europa Franciszkowi z Medyceuszów w Florencyi przy końcu szesnastego wieku.

Dzieje fabrykacyi chińskiéj porcelany, wydał p. Jullien w przekładzie z dzieł chińskich, i jak najsumienniéj kolejnie wylicza wszystkich znakomitych fabrykantów chińskich. W roku 621 słynął w Chinach niejaki Tao-Yu, który wyroby porcelanowe tak podniósł, że dla dogodzenia roznieconéj wziętości musiała udzielna powstać fabryka w prowincyi Czang-Nan, i w wiernem przechowaniu tradycyi mistrza swego tyle się rozsławiła, że w r. 1004 za dynastyi Song przeszła na własność cesarską. Wyroby z niéj pochodzące zwały się porcelaną cesarską; ale wkrótce znamienitsze przybrały znaczenie, gdy z woli cesarskiéj wypłynął rozkaz, ażeby porcelana do użytku na dworze cesarskim była „niebieska jak niebo po deszczu.“ Cały świat więc za niebieską zaczął dobijać się porcelaną, a kto szczęśliwy zachwycił taką łupkę niebieską, ten ją w dnie uroczyste na czapkę przypinał, albo nawlekał między kosztowne sznury pereł i na szyi nosił.

Ale mistrz jakiego Chiny potąd nie miały, był Czeu, w latach między 1567 do 1619 roku; nim się szczyciła fabryka cesarska w Czang-Nan, słusznie, bo zpod jego ręki wychodziły wytwory waz staroświeckich niezrównanéj piękności; opłacano je jeszcze za życia mistrza tysiącem uncyi srebra (7500 fr.), i dziś jeszcze uchodzą niezrównane w doskonałości. Opowiadają o nim to samo co o Michale Agnolo Buonarottim, który kardynałowi sprzedał amora swojéj roboty, a nikt nie wątpił, by nie był antyk. Otoż raz niejakiś Tsang, posiadacz bogatego zbioru antyków, chwali się przed Czeu-em starożytną osobliwością, jakiéj nigdzie drugiéj na świecie nie było, a w istocie roboty była cudnéj i przedstawiała trzynożek porcelanowy w guście wzorowym antyków. Czeu chwaląc jak należało, bierze w cichości rozmiary, odciska ozdoby jak były w odskok albo wklęs na papier, i w sześć miesięcy przynosi Tsangowi bliźnie temu co mienił jedynakiem na świecie. Zdumiony Tsang odkupuje trzynóżek za czterdzieści uncyi srebra (300 fr.); a po jego śmierci rwali się amatorowie, i opłacili tysiącem uncyi.

Nie wyrównały téż poźniejsze wieki sławie wyrobów porcelanowych za Dynastyi Mingów od r. 1368 do 1647; dzisiejsi mistrze przyznają im piérwszeństwo tak co do czystości masy, niemniéj przepychu w kolorach, jako téż co do genialnych pomysłów w kompozycyi kształtów i obrazów. Szczególnie poszukiwane są z pory między 1426 i 1435 rokiem czarki, wytworu mistrza Lo i dwóch siostr Sieu, przedstawiające w malowidle jak szarańcze walki staczają.

Ile dokładnym jest i ciekawym wykład historyczny w dziele p. Jullien, tyle a może więcéj jeszcze pożyteczną jest praca jego co do praktycznego użytku, podając w osobnych rozdziałach wszystko co saméj fabrykacyi się tyczy. Najprzód idzie poczet i objaśnienie chińskich znaków fabrycznych od lat najdawniejszych aż do dni naszych; daléj, a w szczegółach najdrobniejszych geograficzne rozłożenie fabryk w całém państwie, z dodaną przytém mapą, wydania p. Vivien de St. Martin, która uwidomia słowne tłumaczenia; przy mapie jest dwadzieścia rytowanych tablic wykładających kolejne obroby materyałów aż do wykończenia utworu: im odpowiada traktat wyliczający po szczególe wszystkie materyały, tworzywa, i środki jakich fabrykacya porcelany wymaga; następnie spis wszelkich rzeczy odnoszących się do fabrykacyi porcelany, a w końcu ogólne uwagi nad tą gałęzią chińskiego przemysłu. Ku przysłudze kupcom dodał autor wszędzie jeszcze chińskie techniczne wyrazy i nazwiska rzeczy.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*